

Feliks Koneczny

Elephantiasis prawodawcza

Człowiek w Kulturze 11, 273-281

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Feliks Koneczny

***Elephantiasis* prawodawcza ***

* Artykuł opublikowany w: „Myśl Narodowa” nr 55/1936

Przez *elephantiasis* rozumie się w medycynie przerost chorobliwy, nadzwyczajny, niezwykle swą wielkością; tamuje, a w końcu czyni niemożliwym normalne funkcjonowanie organizmu, sprowadza schorzenie chroniczne całego ciała, a nie tylko części dotkniętej chorobą bezpośrednio.

Gdybym powiedział, że Polska, że Polska cierpi na przerost prawodawczy, wyraziłbym się bardzo niedostatecznie; to, co u nas się dzieje, to już nie przerost, ale *elephantiasis* co się zowie, w stopniu niesłychanym!

Czy jest w całym państwie ktokolwiek, któryby znał dobrze treść tej wielkiej, bardzo wielkiej szafy, która zaledwie może pomieścić „Dziennik Ustaw Rzplitej Polskiej”, Dzienniki analogiczne ministerstw, zbiory ustaw, rozporządzeń, przepisów, instrukcji itp.? A przecież ledwie zaczęliśmy, więc co będzie dalej? Gdyby możliwą była statystyka urzędników, znających należycie prawodawstwo własnego tylko „resortu”, jakżeż drobne wypadłyby liczby! Trudno, *ultra posse* nie ma się nawet prawa wymagać. Zresztą, nie tylko brak chińskiej pamięci czyni to niemożliwością, ale co gorsza, coraz częściej odzywa się głos wewnętrzny, jako szkoda czasu uczyć się nowej, świeżo ogłoszonej „pozycji”, bo nim się ją wybębni, już będzie w drodze... nowela, a taka energiczna, że wywróci tamto do góry nogami,

ażeby po niedługim czasie zostać z kolei wywróconą na nice przez drugą nowelę itd, aż do skutku. Skutek będzie taki, że każdy urząd, a nawet każdy urzędnik we wszystkich dykasteriach będzie sobie radzić „własnym uznaniem”, jeżeli się nie zatrzyma powodzi prawodawczej. Kontrola wykluczona, albowiem przełożony zna się na tym chaosie jeszcze mniej od podwładnego, a przełożeni najwyżsi, ministerialni, nie mają czasu na studia praw, obowiązujących do wczoraj, gdyż są zajęci bezustannie przygotowaniem praw na jutro. A dzień dzisiejszy pozostaje bez patrona.

Poszukajmy winowajcy tego utrapionego stanu rzeczy. Tym razem doprawdy nie rząd winien, lecz społeczeństwo samo.

Przede wszystkim, źródło choroby tkwi w przekonaniu powszechnym o wszechmocy i koniecznej wszędzie obecności państwa. *Elephantiasis* państwowości, tj. urzędów państwowych. Wytwarza się jakiś nowy typ państwa, wobec którego państwo „policyjne” dawnego typu wygląda nader skromnie, a „światły absolutyzm” zakrawa na zabawkę dziecięcą! Nie wymyślono jeszcze nazwy naukowej na tę retortę, mającą wysmażać *homunculusów*, pozwalałam więc sobie nazywać ją według własnego „uznania”: państwem wścibskim. Poznać można je po tym, że mając pełne ręce roboty, która do niego nie należy, zaniedbuje niemal wszystko, co do niego należy.

Jak dotychczas, nie widać reakcji przeciwko temu wścibstwu, z jedynym tylko wyjątkiem: żeby państwo nie bawiło się w fabrykanta. Gdyby rząd posprzedawał w ręce prywatne swe fabryki, czyż nie zapanowałoby przekonanie, jako skończył się etatyzm? Bardzo się obawiam, że byłbym w takim razie w nader nielicznym towarzystwie, gdybym nadal biadał na wszędobylstwo i wścibstwo państwowości, cierpiącej na groźną *elephantiasis*.

Ogół obywateli wszystkich nieomal stronnictw lubi wiece „ingerencję” państwa. *Rara avis* (vulgo: raróg), kto pragnąłby to ścieśnić. Pod tym względem cała Polska jest prawie jednoznaczna. Różnice mniemań nie pochodzą na ogół z uznawania lub odrzucania wścibstwa, lecz tylko z pytania, kto ma wścibstwem kierować i jaką je metodą stosować.

Wobec tego *elephantiasis* prawodawcza, wydająca skutki przeraźliwe, w zasadzie miła jest wszystkim. Każde stronnictwo wpy-

chałoby co innego do szafy, ale każde zapchałoby ją z zapalem kopia-sto. Wartość i pracowitość, zdatność i obowiązkowość czy to sejmu, czy ministerstw mierzy się ilością ustaw i rozporządzeń, wydanych w pewnym czasie, nader ograniczonym, np. w jednej sesji, w jednym roku kalendarzowym. Dumą wzbiera serce dziennikarza, gdy może donieść, że „pracuje się” w Polsce na niwie ustawodawczej. Toteż śpieszy po laury obywatelskie, kto tylko może brać udział w wyścigach wścibstwa: poseł ma pełno projektów do ustaw, urzędnik komponuje rozporządzenia, świątce przekonani, że przymnażają Polsce dobra.

Na dnie tego żwawego ruchu prawodawczego tkwi najgłębsze przekonanie o cudownej mocy prawa pisanego. Śpieszą się więc, żeby stosunki „uzdrowić”, „ustalić”, „unormować”, cudowną maścią ustaw; niektórym to nie wystarcza, posuwają swą gorliwość wyżej, mianowicie, żeby z pomocą przepisów stosunki „wytworzyć”. Nawet mamy takich gorliwców coraz więcej.

A tymczasem *quia leges sine moribus*V. Na co to wszystko?

Zwróćmy uwagę na spory o konstytucję. Ja - heretyk pewnie - twierdzę, że przy jakimkolwiek brzmieniu konstytucji można robić, co się żywnie podoba, jeśli się ma siłę, a zatem dysputą konstytucyjną nigdy się nie przejmowałem. Co za ładne rzeczy czytywało się w rosyjskich prawach zasadniczych, a bolszewicy tak jak umieją wypisać się! Węgierska konstytucja „gwarantowała” we wzniosłych wyrażeniach równouprawnienie narodów, a prześladowanie było tam jeszcze gorsze, niż w Rosji. Ale to ludzi jakoś nie poucza. Jestem przekonany, że tysiące obywateli dałoby życie za to, żeby Polska miała dobrą konstytucję. Nieprawdaż? O biedna Anglio, nie mająca dotychczas ni konstytucji, ni kodeksu cywilnego!

Marzą się nam bajeczki ze szkolnych czytanek i „wypisów” o Solonie i innych prawodawcach. Wyrasta się w przekonaniu, że prawodawstwo nadaje treść i formę państwu, społeczeństwu, rodzinie, obywatelowi. Sparta była odmienną od Aten, ponieważ posiadały różne prawodawstwa. Pomylenie przyczyny, a skutku za lat szkolnych trwa z reguły na zawsze, bo dla olbrzymiej większości współobywateli lata szkolne były jedynym okresem, w którym się myślało jako tako, przynajmniej względnie. Potem, wiadomo, „człowiek nie ma czasu”. Wyjątkowe tylko jakieś osoby mają czas zastanawiać się nad sto-

sunkiem ustawodawstwa do życia zbiorowego.

Stosunek ten jest dwojaki: aprioryczny lub aposterioryczny. Ponieważ w naszych czasach (a już od wielkiej rewolucji francuskiej) tamten pierwszy wziął górę, jemu wpierw przyjrzyjmy się. Polega stosunek aprioryczny na tym, że komuś wiadomo jest dokładnie, czego potrzeba ludziom do szczęścia zbiorowego, ludziom w ogóle, Jako takim", bez względu na długość i szerokość geograficzną, a przede wszystkim bez względu na jakąkolwiek tradycję. Taki Specjalista od powszechnego szczęścia, pełen altruizmu, pałając miłością do ludzkości, chce się przysłużyć i wiadomą sobie drogę do wszystkiego dobrego nie tylko wskazać, ale uczynić dostępną każdemu przy pomocy odpowiednich ustaw. Niestety, ludzie bywają niemądrzy, a czekać, aż zmądrzeją i na tę drogę wejdą, byłoby za długo. „Trzeba ludzi zmusić do szczęścia!" jak oświadczył jeden z przywódców polskiego radykalizmu. Sypią się tedy ustawy grubsze i drobniejsze, a im drobniejsze, tym więcej liczące paragrafów, pełne sankcji karnych na nieposłusznych, a to w ich własnym interesie, ażeby zaznali wreszcie szczęścia na tym świecie. Ustawy są tak ułożone, żeby przynajmniej na papierze dawały obraz takich urządzeń państwowych i społecznych, jakie apriorycznie wymyślił sobie prawodawca. Nagina się stosunki do praw, wyssanych z palca, a co się nagiąć nie da, może sobie pójść pod gilotynę lub na latarnię. Bo czyż jest choć jeden rewolucjonista, któryby nie nosił w sobie czarownej recepty na ludzkość szczęśliwą?

Aprioryzm ustawodawczy stanowi specjalność rewolucji. Jeżeli zaś metoda ta czepi się nierewolucjonistów, a to dla swojej powszechności (jak za naszych właśnie dni), natenczas najwięksi nawet przeciwnicy rewolucji nieświadomie rewolucję przygotowują.

Aposterioryzm zaś bada stosunki, a uzupełnia je ustawodawstwem tylko w razie potrzeby i raczej na żądanie zainteresowanych. Jest metodą ewolucyjną, a przy tym uwzględnia tradycję i dba wielce o czas, miejsce i okoliczności. Niechętnie cośkolwiek narzuca; niechaj zainteresowani sami wpierw powiedzą, co im do szczęścia potrzebne.

Różni zainteresowani gotowi jednak rozmaicie określić swoje szczęście. Oczywiście! Cóż ma tedy począć prawodawca? Czy nadawać różne prawa w tym samym kraju? Według powszechnie przyjętych pojęć w jednym państwie może być tylko jedno prawo; innymi

słowy: jednostajność stanowi warunek mądrego prawodawstwa. Np. w Polsce zachodzą niesłychane różnice materialne i duchowe pomiędzy prowincjami, ale administracja „musi być jednakowa”, w imię mądrego prawodawstwa, a tym bardziej jednakowe prawo publiczne. Jak to urządzić? Słyszałem na własne uszy i czytałem na własne oczy radę pewnego posła: ponieważ ani Polesie, ani Nowogrodzkie nie dorosły jeszcze do tych swobód obywatelskich, do których przywykło np. Pomorze, a zatem prowincje zachodnie winny ukrócić swe prawa, ażeby zrównać się co do życia zbiorowego ze wschodnimi. Pocziwiec ani nie przewidywał do jakiego stopnia doprowadzona będzie orientalizacja całej Rzpolitej! Ale jest wszędzie jednakowo!

Ja zaś popełnię jeszcze jedną herezję i powiem, że jednakowa wszędzie administracja, będąc wszędzie sztucznie aprioryczną, nigdzie nie będąc stosowną, musi być wszędzie złą.

Lecz czyż sejm nadawać ma rozmaite prawa, prawa prowincjonalne? Nie, albowiem sejmowi walnemu nic do praw prowincjonalnych. Od tego winny być odpowiednio skonstruowane, prowincjonalne władze i korporacje. Niewątpliwie znaczna większość spraw jest natury prowincjonalnej, toteż sejmowi i ministerstwom pomniejszyłyby się robotę i mogłyby resztę wykonywać porządniej, choćby z większym namysłem.

Jacyż my niekonsekwentni! Dworujemy sobie z Ligi Narodów, gdy do rozsądzenia sporu z Gdańskiem powołuje „znawców” gdzieś z Argentyny i z Japonii, a nie razi nas, gdy czytamy w „Pacie”, jako Rada ministrów obradowała nad tym, czy folwark Hreczkosiejbę wydzielić z gminy Lewodraży, a wcielić do Prawodragów? Nikt z ministrów nie ma pojęcia, gdzie to jest i jak tam życie wygląda, ale decydują. Państwowość „nowoczesna” niecierpi decentralizacji, toteż bliscy jesteśmy tego, że obywatele wszystkich prowincji jednako znienawidzą tę nowoczesność i nastanie rozłam państwa a społeczeństwa, jak bywało w Rosji. Ani jedna bowiem prowincja nie będzie zadowolona z tego, że się ją urządza nie według jej potrzeb, lecz według schematu apriorycznego, wylęgłego nie z obserwacji stosunków, lecz w doktrynerskich głowach.

Aprioryczność ustawodawcza płodniejszą jest w ustawy przynajmniej dziesięć razy, niż aposterioryczność Aposteriorysta

kontentuje się tym, co mu przyniesie rzeczywistość; gdy tymczasem apriorysta pracuje na wyrost i pragnie przewidzieć wszystko, co mogłoby stać się na świecie, ujmując to z góry w prawo pisane. Takiemu prawodawcy przyśnią się często rzeczy i sprawy niestworzone! Ale to nic; od czegoż nowele, które można zacząć wypuszczać zaraz od następnego kwartału?

Chcąc wszystko przewidzieć, wchodzi prawodawca w szczególności, kombinuje, komplikuje, miesza, i często gęsto urządzi galimatias, nad którym załamują ręce ci, którym poruczono wykonanie; ale wykonane być musi, choćby popsuć to, co się chciało wydoskonalić. Im zaś szczegółowsze prawa, tym dłuższe i tym więcej musi ich być.

Składają się więc na *elephantiasis* prawodawczą: przekonanie o niezbędnym wszędobylstwie państwa i o jego wszechmocy, wiara w cudowną skuteczność ustawy, metoda prawodawcza aprioryczna, poczucie obowiązku, żeby ludzi zmuszać do szczęścia, przesąd jednostajności, nienawiść decentralizacji, maniactwo przewidywania wszystkiego. Takich oto osiem głów ma ta hydra prawodawcza „nowoczesnego” państwa!

Skądże się to wzięło u nas, u potomstwa cywilizacji łańskiejskiej? I czyż to dzieje się tylko w Polsce (choć u nas najgorzej)? Hydra objęła Europę kontynentalną całą, i nie od dziś dnia. Nie wolno wysnuwać z tego wniosku, jakoby nie godziło się poprawiać tego stanu rzeczy w Polsce; owszem, byłibyśmy szybko górą, gdybyśmy zaczęli robić coś dobrego dla Europy.

Warto zastanowić się, skąd owa *elephantiasis* u spadkobierców autonomii stanów, o ustawodawstwie bardzo skąpym, a opartym zawsze na prawie zwyczajowym i pełnym różnorodności? Żadną miarą nie można było wydedukować sobie z przeszłości tych przywar, tak wręcz przeciwnych cywilizacji łańskiejskiej. Skąd te naleciałości, nie mające żadnego związku ani z historią, ani z filozofią, ani z ustrojami życia zbiorowego całej cywilizacji łańskiejskiej, nie wyłączając narodowej kultury polskiej?

Dojdziemy łatwiej genezy, poświęcając jeszcze chwilę uwagi skutkom naszej *elephantiasis*. „Z owoców poznacie je”.

Gdzie w nadmiarze ustawodawstwa pomieszczono w prawie kodyfikowanym i przewidziano rzekomo wszystko, tam prawo wy-

starcza do wszystkiego i uzurpuje sobie, że starczy społeczeństwu za wszelką więź. Skoro prawo działa cuda, a obejmie wszystko, czegoś ludziom trzeba nad prawo i prócz prawa?! Trzymajcież się prawa, a reszta będzie wam przydana! Poczucie słuszności i sumienie do czegoś potrzebne, gdy prawo jest wyraźne? Tamto indywidualne, więc chwilowe, zależne od osoby (tak się rozumuje „nowocześnie”), gdy tymczasem prawo stoi jak mur i reprezentuje zbiorowość, a zatem stanowi przejaw kategorii wyższej! Żyć słusznie i sumiennie, to znaczy żyć zgodnie z prawem. Co za postępek, że się człowiek nie musi wahać i namyślać; wystarczy sięgnąć do kodeksu, lub do „Dziennika Ustaw Rzplitej”, albo do zbiorów rozporządzeń ministerialnych - i już! Sumienie wobec np. DURP- to tak, jak socha wobec pług, a pług wobec traktora, jak łuk wobec dobrej strzelby, a strzelba wobec karabinu maszynowego. Po co trudzić się starymi narzędziami, skoro są nowe, ulepszone? Deliberować, co godziwe, a co nie, mając rozwiązanie czarno na białym, gotowe!

To też tylko „mamuty” dumają czasami, jako człowiek porządny nie korzysta bardzo często ze swych kodyfikowanych praw, gdy nie wydają mu się zgodnymi ze słusznością i z sumieniem. Rozmaitość życia sprawia, że to samo może być raz słusznym, a drugim razem niesłusznym, chociaż przy tej samej kodyfikacji. Ale po co łamać sobie głowę, skoro jest prawo; a czyż posłuszeństwo prawom nie jest obowiązkiem (zwłaszcza wtedy, gdy obraca się na naszą korzyść)?

Ale między sumieniem a prawem zachodzi ta różnica, że „sumienia nie oszukasz”, a prawo możesz obejść doskonale, w sposób prawa nie naruszający, a zatem bezkarnie. Gdzie obowiązuje to tylko, co prawem przepisane, tam obowiązków względem słabszego nie ma, bo uwolnią od tego kruczki prawnicze. Życie z kodeksem w ręku, toć niezależność nawet od prawa, jeśli jest spryt i prawnicza finezja oszusta ostrożnego. Prawo, to rzecz zależna od interpretacji. Z tego rodzi się tzw. literalność prawna, formalistyka, w końcu przenoszenie formy nad treść, wreszcie cynizm dla wszelkiej treści, byle pamiętać o literze prawa i formie prawniczej. Bezprawie i nieprawości, pokrywane prawem - oto meta „rozwoju” tej *elephantiasis*!

Im więcej praw, tym mniej prawości.

W jakim sposób cywilizacja łacińska *znalazła* się na tej równi pochyłej i skąd tyle na wszystkie strony ochoty, żeby staczać się na niej bez zatrzymania? Droga ku przepaści sławiona, reklamowana, a kto ostrzega, ten wstecznik z antropofobią...

Otóż wyłączość coraz większa prawniczości naszego życia zbiorowego naprowadza na cywilizację, stojącą prawniczością, gdzie nawet religia jest tylko prawem, a z którą cywilizacja łacińska miesza się od półtora wieku. Jest to cywilizacja żydowska, żywiąca się zbiorami przepisów, które obejmują wszystko a wszystko, sięgając do szczegółów tak drobiazgowych, iż nam - ich uczniom - jeszcze daleko do mistrzostwa.

Jest tradycja, jako Jehowa prócz Tory dał był Mojżeszowi jeszcze nadto 613 przepisów, w czym 248 nakazów, 365 zakazów. W rozproszeniu nie wszystko było wykonane. Zebrał więc Majmonides w XIII wieku, co się da wykonywać, i zostało jeszcze przepisów 369, mianowicie 126 nakazów i zakazów 243. Byłoby tego niesłuchanie mało wobec polskiej *elephantiasis*, ale każdy żydowski przepis kombinowany jest do nieskończoności, wytwarzając całą sieć praw nowych, pochodnych; rozwałkowane się każdą literę, z wyrazów powstają traktaty, ze zdań księgi; a pouczenia, jak prawo obejść, zabierają jeszcze więcej miejsca, niż przepisy same. Takim jest Talmud, komentujący prawniczość religii (kontraktu z Jehową).

Nie ma rzeczy, o której by w Talmudzie nie było mowy, a potem, za jego przykładem, w przepisach rabinów, w zbiorach praw kahałnych, wreszcie w nakazach i zakazach cadyków. Powiada ś. p. ksiądz profesor Trznadel, jako „opasano (prawami) człowieka od stóp do głów, od najpierwszej młodości do końca jego życia, we wszystkich najdrobniejszych szczegółach codziennego życia”. A Sombart pisze o tym w te słowa: „Na każde wydarzenie życia jest przepis, do którego należy stosować się: czy króla spotka, czy zobaczy karłów albo murzynów, czy przejedzie koło ruin, czy zażyje lekarstwo, czy weźmie kąpiel, czy zbliży się burza, czy usłyszy z daleka bijące pioruny, czy wstaje, czy się ubiera, czy załatwia potrzebę, czy zasiądzie do jedzenia, czy wchodzi do domu, czy też go opuszcza, czy wita przyjaciela, czy spotka wroga...” na wszystko, co tylko wydarzyć się może, przewidziane są przepisy. Normowanie prawne życia wkracza

aż w szczególności alkowy małżeńskiej, w drobiazgi tyżące jadła, napitku, ubioru, porządków domowych, zachowania się w domu i w podróży, w sposoby zarobkowania itd., itd. Przepisy kahalne wymieniają, jakich gości zaprasza się na wesela, na obrzezanie, podają spis potraw nawet. Żyd ortodoksyjny kroku nie stąpi inaczej, jak według prawa, tj. według litery. Np. nie wolno w szabat przenosić przedmiotów do obcego domu. Ale gdy się sąsiadowi da trochę swojego chleba, gdy tedy dwa domy jedzą wspólny chleb, stanowią dom jeden i przenosić wolno. Takich przykładów „posłuszeństwa prawu” podają studia talmudyczne setki i setki.

Żydowsy uczeni twierdzą sami, jako judaizm nie jest objawioną religią lecz objawionym prawem (Mendelsohn, Majmon, Lazarus, Philippsohn itd); niektórzy oświadczają, jako Żydowi wolno wierzyć, w co mu się podoba, byle słucał prawa. Jest to cywilizacja, uwielbiająca prawo nade wszystko. Jedną tylko wydali naukę: przewód sądowy, który rozwinęli naprawdę bardzo wysoko.

Cała cywilizacja żydowska opiera się na *elephantiasis* prawodawczej. Mnóstwo Żydów nie stosuje się już (zwłaszcza na Zachodzie) do owych tysiacych przepisów, ale zostaje w ich głowach metoda ustroju życia zbiorowego, polegająca na wyłączności prawniczej. Pozostaje im wiara w nieograniczoną moc prawa i w potrzebę prawa na każdym kroku życia. A skoro jednakowo słucają ustawodawstwa Żydzi pięciu stron świata, nasuwa się im postulat prawa uniwersalnego, stąd zapał ich do niwelacji, jednakowości, przynajmniej w jednym państwie, gdy już nie można na całym świecie. Wszystkie właściwości *elephantiasis* prawodawczej tkwią w umyśle żydowskim. Odkąd tedy Żydzi wywierają wpływ na prawodawstwa krajów cywilizacji łacińskiej, nabieramy cech żydowskich i grzęźniemy w stosach przepisów. Wstawiamy coraz bardziej prawo na miejsce etyki.

Żyd działa po żydowsku. Cóż w tym dziwnego lub nienaturalnego? Trudno od niego wymagać łacińskiej filozofii prawa. I nie trzeba wcale a wcale wietrzyć w tym złej woli. Przy najlepszej woli daje nam to, co sam posiada najlepszego, swój prawniczy światopogląd. Napawamy się nim coraz bardziej sami, dobrowolnie.